

IGNACA GŁUSZAK

ur. 1934; Zimno-Kolonia



Miejsce i czas wydarzeń	Zimno-Kolonia, II wojna światowa
Słowa kluczowe	Zimno-Kolonia, II wojna światowa, partyzantka, życie w lesie, ukrywanie się w lesie, Niemcy, żołnierze niemieccy, Pawłówka, NKWD, zbrojna kacja partyzantki, spotkanie z Niemcem

Losy moje i rodziny w trakcie II wojny światowej

Była partyzantka u nas, u wujka w sąsiedztwie to był cały sztab. Mama miała pseudonim „Sarna”, a ojciec, jak później się dowiedziałam, był „Wilkiem”. Jak Kolonia się spaliła, to jeździli z bronią. Mieszkaliśmy przez dwa tygodnie w lesie, który był nazywany „bukowcem”. Znajdował się między Tomaszowem Lubelskim a naszą Kolonią. Był duży i bezpieczny, ponieważ Ukraińcy i Niemcy bali się ukrywającej w nim partyzantki. Do jedzenia były grzyby i tłuszcz; na wozie drabiniastym była przechowywana beczka ze słoniną. Rodzice się przygotowali, ponieważ była też druga beczka, gdzie był zrobiony twaróg z masłem. Był wówczas urodzaj na borowiki, trudno było nawet chodzić, bo wszędzie było mnóstwo tych grzybów. W lesie to rzeczywiście żyliśmy grzybami, słoniną, na której się grzyby dusiły, smażyły. No i krowy mieliśmy w lesie, mama je doiła, więc było także mleko. Jak spaliła się Kolonia, to został piec chlebowy, płyta kuchenna i komin. Mama jeździła z karabinem i piekła chleb. Tak przeżyliśmy dwa tygodnie.

Pamiętam jak Niemcy jechali taką drogą polną koło tej naszej Kolonii, to wszyscy wujkowie pochowali się do stodoły, a ja nie wiedziałam dlaczego, byłam jeszcze wtedy małym dzieckiem. Później, jak już Niemcy odjechali, weszłam do stodoły, a oni byli pochowani za snopkami. Zauważyłam też karabiny, także byli przygotowani na odwet gdyby Niemcy zaatakowali. Takich wujków miałam dużo, tam się czasem pokazywali, raz taki wujek, raz taki. A ja jeszcze nie wiedziałam o co chodzi, a to była partyzantka.

Później znajomy ojca na Pawłówce, za tym lasem, zaprosił nas i tam byliśmy bardzo, bardzo długo. Mieszkaliśmy u tych gospodarzy ponad rok. Rodzice uprawiali ziemię, mimo wszystko jeździli tam, jak się udało coś zaorać, zasiać. Ale bardzo często było tak, że Niemcy jeździli przez to pole, bo w poprzek przechodziła droga, tak zwany trakt. I wtedy rodzice chowali się w bruzdzie po ziemniakach, czołgali się na leżąco

żeby ich nie zauważyli. Kiedyś ktoś nawet strzelał do mamy, bo zauważył, że uciekła.

Później już mieszkaliśmy trochę bliżej, też u znajomych, tak ze trzy kilometry od miejsca stałego zamieszkania. Było to pogorzelisko, gdzie się wszystko spaliło. Rodzice tam jeździli, uprawiali zboże, częściowo coś tam udało się zasiać, później zebrać. I tak po żniwach przywiózł ojciec jakieś zboże i zakopał, aby nikt go nam nie odebrał. Pamiętam jak przyszedł człowiek i mówił: „Jestem z NKWD”. I szukali zboża. Widzieli, że musi być gdzieś ukryte, bo niedaleko rosnęło i zostało skoszone. Szybko zauważyli sztucznie przysypany kopiec. Powiedział: „Tu chyba schowałeś”. I kazał iść ojcu po szpadel. Mówił też: „Mam trzy naboje, raz, dwa, trzy...” I że zastrzelili nas jak nie powiemy, gdzie to zboże jest. Trzymałam się mamy za spódnicę. Ojciec powiedział, że musi iść do sąsiada po łopatę i mrugnął do mamy, my też poszliśmy szukać szpadla. Uciekłyśmy za stodołę, mama mi kazała biec szybciej i położyć się, żeby nas nie było widać. Czołgałyśmy się, tak żeby być jak najdalej od domostwa. Ojcu także udało się schować. Chwilę później dali spokój temu zbożu i dzięki temu myśmy się uratowali.

Pamiętam także sytuację, kiedy NKWD-ziści kazali ojcu zawieźć się furmanką do Tomaszowa. Dostarczali wtedy więźnia do aresztu. Było ich chyba trzech, ojciec czwarty, czyli dwóch opiekunów i jeden oskarżony. W połowie drogi do Tomaszowa partyzantka zaczęła odbijać więźnia, bo był to ktoś ważny. I wszyscy wskoczyli z szosy w przeciwnym kierunku. Mój tata mówił: „Mnie coś tak jakby kazało że... w drugą stronę”. I mówił: „Wskoczyłem tam, skąd kule te leciały, wskoczyłem w tamtą stronę i było zboże, jak już byłem w tym zbożu, to czułem się jakbym miał skrzydła, że już jestem uratowany”. I proszę sobie wyobrazić, że rzeczywiście wszyscy pozostali zginęli. Także to był atak partyzantki. To było wielkie wydarzenie, wiem, że mama płakała bardzo, biegała, było takie poruszenie, nie wiedziałam co się dzieje, bo mnie w to nie wtajemniczali. Dopiero później konie przyszły do domu, bo ojciec miał takie konie, że jak na przykład pojechał gdzieś na targ, a zostawał długo, to Kara była taką klaczą, że jak jej się nie podobało, to sama szła do domu [śmiech]. I wtedy konie przyszły same do domu, więc mama się zmartwiła. Ale później przyszedł tata, miał zieloną czapkę z daszkiem i z otokiem. Była ona przestrelana, ten otok był rozszarpany. Na szczęście ojcu nic się nie stało, nawet nie był draśnięty.

Była warta na Kolonii w nocy. Sołtys zawsze zarządzał po kolei, żeby kilka osób czuwało co się dzieje, żeby reszta mogła spać. Kolonia była mała, liczyła tylko trzynaście mieszkań. Czuwali na górze, z której rozciągał się dobry widok. Jak ktoś jechał, to się stamtąd widziało, można było dać cynk, że coś się dzieje. Kilka razy tak było, że Niemcy jechali na jakieś zwiady, ale nic złego się nie działo. Raz tylko w ciągu dnia przyjechali i jeden z nich chciał mi dać cukierka, ale ja nie chciałam, bo miałam nakazane żeby nic nie brać. Był dla mnie sympatyczny, podszedł i powiedział po polsku: „Nie bój się, nie bój się”. Rozwinął i zjadł tego cukierka, żeby mi pokazać, że to nic złego, że bym się nie bała. Ja mimo wszystko się nie poczęstowałam. To

było spotkanie tak w cztery oczy z Niemcem, tak z bliska. Pamiętam, że był dla mnie miły i wyglądał bardzo elegancko.

Data i miejsce nagrania	2013-06-19
Rozmawiał/a	Piotr Lasota
Transkrypcja	Agata Bujara
Redakcja	Agata Bujara, Piotr Lasota
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"